

Mr

En

2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabrania się zmieniania, kopiowania i w jakikolwiek inny sposób wykorzystywania niniejszego utworu bez pisemnej zgody autora.

1.

Spojrzał w lustro łazienkowe. Zmartwił. Starzec nad grobem? Tetryk, karykatura cudu stworzenia. Ten obraz na pierwszy rzut oka uzupełniały odgłosy sapania, charczenia i odkrztuszania flegmy. Wyśnione, miłe nocne sny nie odpowiadały jego dzisiejszej fizyczności. Wory pod oczami, opuchnięte powieki... Jakby tego było mało, to zaczerwieniony od kataru nos, ropa w oczach. Z trudem rozchyłał powieki. Pierwsze co dostrzegł po dojsciu po omacku do łazienki to światło lampy, które działało na niego bardzo korzystnie. Bo działało jak zmiękczający filtr programu do edycji zdjęć. Dostrzeżony obraz był miękki, światło lampy z lekką poświatą. I wtedy to dostrzegł siebie. Przeraził się: ledwo otwarte oczy jak z horroru, pełne zapalenia spojówek, krwiste pajęczki na policzkach i nosie. Niedopinająca się na zwisającym brzuchu pidżama. Ecco homo! - zakrzyknął En. Głos jakoś nie chciał wydobyć się z niego. Zamiast zamierzonego sformułowania do ścian łazienki doszedł jakiś charkot diaboliczny. Dziś nie spał dobrze. Mimo tego coś mu się śniło. W swych snach był młodym, dziarskim, dowcipnym oraz lubianym człowiekiem. Bez problemu podbiegł do metra, podniósł zabawkę, która wypadła z wózka, gdy na ulicy mijala go matka z małym dzieckiem. A teraz? Zmobilizował się. I bez ładu i porządku zaczął się wybierać. Dziś miał wyczekiwana wizytę u lekarza. To co robił, by wyjść z domu wydawało się być działaniem osoby, która robi to po raz pierwszy. Czy to ta cholerna choroba, czy też starość – zadawał sobie pytanie wściekając się na siebie, wyzywając za skrajnie nieudolne przygotowanie do wyjścia. Do jego głowy wpadła kolejna myśl: co będzie za rok, dwa pięć. Już same te myśli rozwalały go psychicznie. Westchnął, choć na zewnątrz słyhać to było jak pomieszenie dźwięków startującego myśliwca z sapaniem zdychającego hipopotama...

Dotarabanił się do auta. Odpalił i pojechał na wizytę lekarską. Był przełom września i października. Czy to przez nagłą zmianę pogody, czy też coś innego – tego sam nie wiedział poczuł się źle. Kilka dni temu sekretarka medyczna zaaplikowała mu telefonicznie lekki lek przeciwgorączkowy. Niestety, nie podziałał. W związku z tym jechał. Czuł się nadzwyczaj zmęczony. I tak też wyglądał. I jeszcze to choróbsko. Nie był to szczyt jego zadowolenia, tym bardziej że dużymi krokami zbliżał się sezon...

Ośrodek mieścił się w starym budynku. Stary – to chyba najlepsze określenie. Można byłoby go nazwać stylowym, miał wprawdzie ponad sto dwadzieścia lat, gdyby nie nadmiar eklektycznych przeróbek oraz niedoróbek. Może ktoś inny, tacy na przykład turyści uważaliby ten obiekt architektoniczny za urokliwy, lecz jemu – estecie i koneserowi ładu wszystkie te narośle nie odpowiadały, były wręcz szpecące i zaburzające formę, czystą formę architektoniczną. Wywoływało to u niego złość i niezadowolenie, a jego stan zdrowia – gdy o tym wszystkim myślał już się pogarszał. Z trudem pokonał kilka schodków na wejściu.

Po pochylni dla wózków nie chciał iść. Uważał, że to jeszcze nie jego liga. Wolał większy wysiłek, za to zgodnie z przynależnością do jeszcze sprawnych – jak siebie sam nazywał. Te kilka stopni już przyspieszyło akcję jego serca i częstotliwość oddechu. Okoliczne drzewa jeszcze nie do końca rozebrały się przygotowując do nadchodzącej zimy. Za to pan dbający o porządek już czynił swą powinność i dmuchawą sprzątał liście zakłócając otoczenie spalinami oraz hałasem małego smrodliwego silnika wypuszczającego kłęby dymu. Całkiem niezły, ciekawe jak ten facet który poruszał tym okropnym, bezdusznym urządzeniem mógł wytrzymać swoją pracę. Z silniej bijącym sercem, wkurzony wszedł do środka. Podszedł do kontuaru rejestracji, zgłaszając swe przybycie. Pani stale uśmiechająca się odkliknęła go w komputerze, informując: drugie piętro, pokój 13. A po chwili dodała z życzliwym uśmiechem, zauważając chyba jego przyspieszony oddech i tuszę: dziś mamy awarię windy, właśnie ją naprawiają, ale pan na pewno da sobie radę. Jej słów od już „na pewno pan da sobie radę” już nie usłyszał. Usłyszał za to, jak w jego naczyniach krwionośnych zaczyna buzować adrenalina i kortyzol. Potem usłyszał krzyki w swej głowie: jak to możliwe, głupki, nieudacznicy, nie mają za grosz współczucia dla chorych. Drugie piętro, a on... Trudności w chodzeniu, nie mogli windy sprawdzić wcześniej - aby nie dopuścić do awarii. To ten cały popieprzony świat. Czas chyba zrezygnować z tej roboty... Przecież jest ponad siły, jego siły... Dopiero, cholerka pół piętra. Zdyszany zatrzymał się. Zza załomu dostrzegł ubrania robocze konserwatorów. Powoli unosił wzrok. I oniemiał! Konserwatorzy windy stali skupieni wobec siwego faceta - chyba szefa, bo ten był najstarszy i... gamonie – patrzyli na coś w jego telefonie, co chwila się uśmiechając. Jemu nie było do śmiechu. I gdyby tylko mógł – zwolniłby ich wszystkich: drani, partaczy, leserów, obiboków, ten cały technologiczny leniwy pomiot kurzy. On tu się męczy, a oni... Nagle dostrzegli go. I chyba coś im się stało. Szef nagle schował źródło rozrywki do kieszeni, a swoich współpracowników zagarnął popychając do roboty. I co mi z tego, pewnie jak będę po wizycie ta okropnie cholerna winda będzie działała. Ja to mam szczęście, jak zwykle ja. Kolejny pacjent u doktora pojedzie pewnie szybko i bezwysiłkowo... Dziękuję – wymamrotał chyba do siebie, bo nikt z obecnych na korytarzu wzdłuż szybu windy go nie słyszał, gdyż robotnicy: pierwszy z nich coś zawzięcie odkręcał elektrycznym kluczem, drugi coś wiercił, a trzeci – uderzał w jakiś element młotkiem. Szef zaś wyposażony w jakiś przyrząd coś mierzył wkładając końcówki przewodów miernika pod rozebrany pulpit sterowniczy trzymając w ręku książkę ze schematami połączeń.

Z tego tabunu myśli wybiło go spostrzeżenie, że jeszcze tylko pół piętra, kawałek korytarza i już będzie na miejscu. Taaaak, było mu ciepło. Bardzo ciepło. Kropelki potu na czole czuły się wspaniale, co chwila zapraszając kolejne. A te kolejne oganiane przez

wcześniejsze nieco zasłaniały mu wzrok spadając z siłą bądź to wodospadu Wiktorii, bądź Niagary. I nie było to przyjemne, aby co chwila korzystać z ogromnej, staromodnej, praktycznie już nie używanej na co dzień przez nikogo wielkiej chusteczki z motywami świąt grudniowych. On je jeszcze posiadał. A ta, którą dziś zabrał ze sobą – była już cała mokra od potu. Jeszcze tylko załom i...

Słabo oświetlony korytarz z drzwiami po obu stronach smutno uśmiechał się do niego. Podparł się lewą ręką – miałby kłopot z utrzymaniem równowagi. Na szczęście mam jeszcze trochę siły – pomyślał.

Szedł powoli korytarzem zwracając uwagi na numery pokoi. Jego – gabinet 13 mieścił się na samym końcu po prawej. Usiadł na krześle przed gabinetem. Na korytarzu siedziały może trzy, cztery osoby, wszystkie w raczej zaawansowanym wieku. Przez myśl przebiegło mu określenie: oddział geriatryczny. Jego oddech uspokajał się, słyszał, że serce zwalnia rytm. Pot przestał spływać mu z czoła. Nareszcie, jaka ulga – przeszło mu przez głowę. Usiadł. Miał wrażenie, że krzesło ostatkiem sił przeciwstawiało się jego masie i zetknięciu z ziemią. Ten ostatek sił wystarczył, by utrzymać stan równowagi. Poczł zadowolenie. Siedział i czekał. Spędzając w ten sposób czas nasłuchiwał, zastanawiając się, czy ktoś jest w środku. Ze środka dochodziła pełna i wyrazista cisza. Zerknął na zegarek. Była 10.30 – pora jego wizyty. Nagle otworzyły się drzwi. Mimowolnie wykonał ruch, jakby przestraszył się tego. W drzwiach pojawił się nieco przygarbiony, chodzący o kuli siwy, pomarszczony człowieczek w staroświeckim białym kitlu. Patrząc głęboko w oczy En spytał:

- Czy to pan na 10.30?

- Tak, odpowiedział En.

- To proszę – wskazał En wolne miejsce w gabinecie.

Gabinet promieniał światłem. Okna wychodziły na południe. En poczuł przyływ energii, zadowolenia.

Lekarz zaczął czytać jego historię choroby. Poprzedni – jak powiedział odszedł na wieczną służbę. Z zadowolenie En pozostało niewiele. Poprzedni lekarz znał go – można powiedzieć na wylot. I był nerwowy, szczególnie wtedy, gdy En mówił o nierealizowaniu zaleceń medycznych. Ciekawe, jak ten doktor zareaguje? Czy będzie tak samo natarczywy i namolny wobec zdrowia pacjenta, czy też odpuści – decydując, że zdrowie pacjenta to jednak jego autonomiczny wybór. Tylko po co wtedy miałby przychodzić do takiego lekarza. Nie, to bez sensu – pomyślał En. Już zauważał kolejny pakiet nadchodzących do rozważania myśli, gdy lekarz chrząknął i rzekł przeciągle: taaaaaak.

En chciał coś odpowiedzieć, lecz lekarz cały czas studiował jego historię choroby. No taaaaaak – znów wydobyło się z pana doktora. Po kilku minutach studiowania na jego twarzy

pojawił się wyraz doktorskiego nasycenia wiedzą o przypadku, który siedział przed nim.

Padło sakramentalne pytanie o powód zgłoszenie. En mówił o tym, że leki zaordynowane przez pielęgniarkę nie działają. Doktor chciał uzupełnić swą wiedzę na temat tego, czym zajmuje się En. W odpowiedzi usłyszał, że jego pacjent ma Nielimitowany czas pracy. Że najwięcej zajęć ma w okresie od początku listopada do końca roku, gdy głównie pracuje fizycznie, a później zmienia się charakter jego pracy na biurowy: ma tylko sprawozdania i raporty.

Zróznicowana – mruknął niby mimochodem pod nosem lekarz. I kontynuował jakby nigdy nic:

- Proszę mi coś o sobie opowiedzieć, no bo skoro mam się pana zdrowiem zająć, to chciałbym poznać przydatne mi informacje.

Zaległa cisza. En trochę się zasępił. Bo czego ten cholerny kuternoga chodzący o kuli chce od niego. On ma gorączkę, która nie spada, brał tabletki od siostry – przecież ma to wszystko w papierach, a czegoś jeszcze od niego chce. Powinien wiedzieć, że on pacjent czuje się źle, bo przecież każdy kto ma gorączkę i coś go rozkłada czuje się źle! Niech go zbada do cholery, niech osłucha, zmierzy ciśnienie, opuka młoteczką badając odruchy neurologiczne, zajrzy do gardła, wywróci na drugą stronę spojówki, niech obejrzy moje ucho jedno i drugie, może też zajrzeć do nosa, oka, a przez kışkę stolcową niech sobie pomaca prostatę. A tu ten oto siwulec zadaje pytania jakby urwał się z choinki. On nie wie, czego chory człowiek potrzebuje? A przecież każdy wie – bo ja wiem, czego ode mnie oczekują moi klienci. Wiem, pamiętam i już. I o takie duperele się ich nie pytam. Ten cały świat... Miał poczucie, że otaczająca rzeczywistość jest coraz bardziej zakręcona, więcej ona jest pogibana. A on – miał takie wrażenie, że na stare lata coraz mniej do niego się nadaje, a może to tylko wrażenie, lustrzane odbicie: rzeczywistość przestała pasować do niego..... En siedział i nie mówił nic.

Siwy lekarz dostrzegł wątpliwości i narastającą złość swego pacjenta, zauważył zmieniony wyraz jego twarzy i nerwowy skurcz w okolicy oczu, marszczące się brwi, napięte mięśnie żwaczy oraz zaciskające się pięści.

- Proszę o to, bym i ja mógł lepiej pomóc – powiedział serdecznym i spokojnym tonem. En poczuł, że to zdanie otworzyło wszystkie do tej pory pozamykane zapadki jego umysłu i serca. I zaczął mówić. A mówił ze łzami w oczach o wyczerpaniu pracą, o coraz większym obciążeniu psychicznym, o narastającym braku wyrozumiałości, o zwiększających się wymaganiach dotyczących efektywności i skuteczności, o braku porozumienia ze współpracownikami, o swej odpowiedzialności, bo skoro on – En się do czegoś zobowiązał, to musi, chce to wszystko wykonywać dobrze. Mówił też o nastawieniu innych do jego pracy.

O pomówieniach i posądzeniach, umorzonych sprawach sądowych wytoczonych przez rodziców, którzy nie życzyli sobie, by ich dziecko zasiadało u niego na kolanach. Relacjonował sprawy o nachodzenie, zakłócanie miru domowego poprzez wtargnięcia na teren posesji prywatnych. To wszystko przysparzało mu trosk i niepokojów co do sensu jego pracy. Najgorszą troskę przeżywał w zeszłym sezonie, gdy został zmuszony do niespodziewanego lądowania przez wojskowe samoloty jednego z państw w basenie Morza Śródziemnego. Po czym został poddany szczegółowej rewizji. Został zatrzymany do wyjaśnienia na dwanaście godzin. Po tym wszystkim nabawił się chyba nerwicy, głównie żołądka. Nie mógł sobie tego wyobrazić, pomimo iż wielokrotnie o tym myślał, jak on En – mógł zostać postawiony w stan oskarżenia i to w okresie największego nawału pracy. Wszystko mogło zakończyć długą tradycję uprawianej przez niego profesji. To spowodowałoby unieszczęśliwienie wielu osób na świecie, co bardzo go bolało. Ileż to nieprzespanych nocy było z tym związanych, ile wypłakanych łez, wypalonych fajek i wypitych butelek whisky. Dzięki temu zachował w miarę integralność psychiczną, choć zdrowie fizyczne zdrowie bardzo mu szwankowało. Od zeszłego sezonu przytył około dwudziestu kilogramów, choć wcześniej do chudych nie zaliczał się. Zasmucony był też tym, że pomimo zlecenia znanym, światowym firmom rekrutacyjnym wyboru jego następcy kandydaci, którzy zgłaszali się prezentowali poziom kompetencji i zaangażowania wyjątkowo nieprzystający do wymaganych standardów. Czuł się jak w matni, potrzasku. Z jednej strony lubił, chciał robić to co robi, a z drugiej był tak po ludzku niezmiernie zmęczony całą biurokratyczną otoczką, niezadowoleniem świata, kłodami rzucanymi mu pod nogi. Miał poczucie, że wokół niego zacieśnia się pętla, która powoli, acz systematycznie wygasza jego działalność...

Lekarz słuchał tego bardzo uważnie. Od czasu do czasu kiwając głową i coś zapisując w komputerze. Z wyrazu jego twarzy widać było, że jest tym wszystkim bardzo poruszony.

Gdy En skończył lekarz zaczął coś wpisywać do komputera. Po chwili poprosił En o rozebranie się. Osłuchał go dokładnie, wykonał zdecydowaną większość czynności badawczych, o których wcześniej, z tak głębokim oczekiwaniem myślał En. Kazał mu położyć się na leżance i długo oraz boleśnie uciskał go po całej klatce piersiowej, zbadał brzuch i podbrzusze.

Doktor ponownie zaczął coś wpisywać do komputera. Po chwili z drukarki wyszły zadrukowane arkusze z zaleceniami, informacja o dawkowaniu i zażywaniu leków oraz inne zalecenia. Na telefon En przyszła też SMS-owa informacja o wystawionej elektronicznej recepcie. Lekarz podsumował spotkanie, powiedział o tym, co szczegółowo należy robić, a

wizytę kontrolną wyznaczył za dwa tygodnie. Uścisnął dłoń En, życząc zdrowia, odprowadził go do drzwi gabinetu.

Gdy En dochodził do klatki z windą, jej drzwi otworzyły się, a z wnętrza wyszedł zadowolony młody człowiek. I takich wyluzowanych, młodych, sprawnych, zdrowych winda wozi, a ja musiałem... I to go wkurzyło. Powtarzał sobie w głowie jedno słowo: wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem... Winda działała, tak jak przewidział. Jego myśli powodowały, że zamiast coś zrobić zatrzymał się, zapadał w stupor refleksyjności. Złościł się – tylko nie wiadomo na kogo: czy na siebie, czy na to, że się sprawdziło, że umęczył się wchodząc. Jak obuchem ten tryb przerwało pytanie:

- Wsiada pan?

Rozejrzał się dookoła nieco nieprzytomnym wzrokiem. A! To ten wychodzący z windy młody człowiek przytrzymał drzwi, by umożliwić mu wejście. Gdy En mijał go usłyszał jeszcze:

- Wie pan, za chwilę pewnie winda by zjechała na dół, bo jak wsiadałem czekało tam już kilka osób. A teraz ludzie chorują...

- No tak – chrypnął En i na odchodne dorzucił swym chorobowym basbarytonem:

- Dziękuję.

2.

W drodze powrotnej wykupił leki. Wstąpił też do sklepu kupując coś na przeżycie. Po dotarciu do domu sapiąc i charcząc założył na swój kulfoniasty nos okulary i zaczął czytać zalecenia. Przeczytał i... zdenerwował się. Bo jak to on - En ma iść do jakiegoś tam takiego psycho coś?. Ten siwy doktor oprócz swych wielu licznych przymiotów ma jeszcze jeden: upierdliwe przekonanie do nowoczesności. Oczy En popadły w stupor: przewijała się przed nimi jak napis z czerwonych ledowych lampek w ciemną noc treść zalecenia: Proszę złożyć się na terapię do pana Timo Virtanena, telefon

Masakra, masakra i jeszcze raz masakra. Uruchomiło się w głowie En. To przecież kolejny cios. Nie dość że świat, że ludzie, że to wszystko, to teraz on ma jeszcze... Na szczęście nastawił alarm w telefonie, który przerwał nakręcanie się czarnych myśli. Alarm zdawał się krzyżeć jeszcze głośniejsze niż jego myśli: weź pigułki, weź pigułki weź pigułki.

Powoli stan zdrowia poprawiał się. Łykał tabletki, zakraplał lekarstwo i smarował oczy. Przewalczył także z samym sobą, że zadzwoni do Timo. Umówił się z nim na spotkanie za cztery dni. Timo przez telefon sprawił dość dobre wrażenie. Uważny, refleksyjny i... konkretny. Zaproponował En, by ten zanim do niego przyjdzie na terapię pomyślał o tym, co w czasie oczekiwania na sesję już się poprawia. En z powątpiewaniem przystał na tę

propozycję. Choć – z perspektywy kilku dni oczekiwania nie spodziewał się, że w tak dobroczynny sposób pytanie to wpłynie na jego myślenie. To pytanie było jak rozczyn drożdżowy w jego głowie. Dawało szansę na inne myślenie. Ta szansa rosła. Idąc do Timo w piątkowe popołudnie, mimo zimna deszczu En był w znacznie lepszej formie psychicznej niż jeszcze tydzień wcześniej. Był zadowolony z kuracji doktora. Wysikał trochę niepotrzebnej wody z organizmu – opuchlizna nieco zeszła. Zrzucił kilka kilo. Dzięki temu miał więcej siły. Mógł patrzeć wyraźniej na świat, co też go cieszyło – zadziałały specyfiki do oczu. Jego zapalenie zatok i górnych dróg oddechowych powoli odchodziło do lamusa, jemu samemu lepiej się oddychało, ustępował ból gardła, lepiej sypiał, nie miał już gorączki - kolejny plus. Skubany doktor dołożył jeszcze coś na wzmocnienie, i En nie wiedział, czy nie idzie do Timo na jakimś szamańsko-lekarskim dopingu, a może placebo, które uruchamiało u niego wyższy poziom nadziei. Jeszcze co prawda nie wiedział na co, lecz czuł się lepiej. I jakoś tak meandrując myślami doszedł do wniosku, że podczas rekonwalescencji przestanie zbyt mocno wybiegać w przyszłość, aby nacieszyć się nadzieją - tym uczuciem, które tak dawno u niego nie gościło. Szedł ulicą wesoło pogwizdując. Mijał opatulonych smutnych ludzi, którzy jakoś dziwnie na niego patrzyli...

3.

Timo miał gabinet w lecznicy psychologicznej około dziesięciu minut drogi od domu En. Przytulny korytarz pomalowany w jasne, pastelowe kolory. Kilka foteli pośrodku, jakieś stoliki, w rogu automat do kawy i herbaty, gazety i czasopisma. Z korytarza wchodziło się do czterech gabinetów terapeutycznych. En zrobił sobie czarnej herbaty. Wybrał największy z możliwych kubków, zgodnie z dewizą: jak pić to na maksa. Dewiza ta wynikała z jego lenistwa – nie lubił marnować czasu na dolewki i kolejne zaparzania. Siedząc w fotelu czekał na sesję i popijał herbatę. Ze zdziwieniem dostrzegł na kubku napis: *zachowaj spokój i pij herbatę*. W jakiś niezrozumiały dla En sposób napis ten przypominał mu się przy każdym łyku wypijanego napoju. Obejrzał wszystko dookoła siebie. Zdawało mu się, że obrazek między oknami mógłby wisieć równiej. Chciał to jeszcze sprawdzić z bliska. Już wstawał, by go poprawić gdy otworzyły się drzwi do gabinetu Tima. Z gabinetu wyszła pewna pani, w wieku – jak się wydawało En zbliżonym do jego. To co zwróciło jego uwagę to rozpromienione oczy klientki, jej ogromna wdzięczność i zadowolenie z zakończonego przed chwilą spotkania. Miał wrażenie, że z radości pani ta weźmie rękę swego terapeuty ze sobą, gdyż tak mocno nią potrzęsała trzymając oburącz. En patrzył na tę scenę i zaczął się zastanawiać, czy ręka i staw barkowy Timo to wytrzymają. Mimowolnie uśmiechnął się.

Nie, nie będę patrzeć tak ostentacyjnie – pomyślał i odwracając się podszedł do swego wielkiego kubka z herbatą.

Gdy brał go do ręki usłyszał znany już z telefonu głos Tima.

- Pan En? Zapraszam na spotkanie.

En spytał, co ma zrobić z kubkiem, bo jest w nim jeszcze ponad połowa herbaty. Usłyszał, że może wziąć ze sobą na sesję.

Przywitał się ze swym terapeutą. Gabinet był inny niż z filmów o psychologach. Nie było leżanki, a ściany miały ładny jasno pistacjowy kolor. Na ścianach znajdowały się zdjęcia lasów, drzew oraz krajobrazy. Dwa fotele, kanapa i krzesło oraz stolik. To było wyposażenie. En wybrał kanapę, jako najbardziej komfortową dla niego.

Timo przedstawił siebie, omówił zasady terapii, mówił coś o tajemnicy terapeutycznej. Jasno, konkretnie i zdecydowanie. To fajny gość – pomyślał En, gdybym miał syna, to mógłbym mieć takiego. Spotkanie było szokiem dla En. Od dawna nie dowiedział się o sobie tak wielu ważnych i pozytywnych informacji. I choć nie znał Timo, to dzięki niemu przypomniał sobie o swej odpowiedzialności, rzetelności, zaangażowaniu, kompetencji, znakomitej organizacji i planowania pracy zespołów roboczych. Przywołał na nowo okres, w którym miał więcej zapału do pracy, poczuł tamte chwile radości, zadowolenie, świętowania sukcesów, wręcz szczęścia i konstruktywnego radzenia sobie z trudnościami. Timo sprawił, że to wszystko w nim odżyło, że poczuł się jak wtedy – tylko, zastanawiał się, czy to aby był on? Podczas sesji wydarzyła się jeszcze jedna bardzo ważna rzecz. Timo spytał En o cud w jego życiu, o to jak miałyby wyglądać jego funkcjonowanie, gdyby coś takiego miało miejsce. Co byłoby inaczej, kto dostrzegł by zmiany. Na czym zmiany te miałyby polegać? Jak En mógłby podtrzymać te zmiany? En miał wrażenie, że prostują mu się zwoje mózgowie. Takiej uczty duchowej nie przeżył od dawna.

Na zakończenie Timo podsumował sesję i przedstawił mu do wykonania zadanie domowe. Nazwał je listem z przyszłości. En był podekscytowany. Nie mógł się doczekać, kiedy w domu usiądzie do jego pisania. W otwartych drzwiach, mając w kącikach oczu łzy radości uchwycił oburącz rękę Timo potrzącając nią bardzo mocno. Wtedy przypomniał sobie poprzednią klientkę Timo. To jest jakaś magia pomyślał, jak będę dalej tak szarpał mu rękę to ją wyrwę... Jak on to robi? Facet jest niezły, pomyślał wychodząc z poradni En.

4.

List z przyszłości – czyli zadanie domowe En:

Drogi Oskarze,

Dawno już nie kontaktowaliśmy się. Wybrałem tę drogę – tradycyjnego listu, bo też okazja jest nie byle jaka. Otóż chcę podzielić się z Tobą moją radością zmian, które wprowadziłem w ciągu ostatnich kilku lat. Nie wiem tylko, od czego zacząć. Może zacznę od siebie, swego wnętrza. Mój Drogi, po tylu latach pracy w tym fachu – podobnie jaki i ty kiedyś, choć wykonywałaś inny zawód - stałem się wątpiacy, niezadowolony, zasmucony i pozbawiony wiary w to, że w moim życiu będzie choć odrobinę lepiej. Bałem się też, czy nie będę ostatnim przedstawicielem zanikającej profesji, czy dożyję do kolejnego sezonu. Bardzo to wszystko przeżywałem, co objęło się na moim zdrowiu. Jednak kilka lat temu, gdy spotkałem pewnego siwego Doktora oraz terapeutę Timo – podziałali oni na mnie jak katalizatory. To dzięki nim przypomniałem sobie moje młodzięcze pasje, pragnienia, nadzieje. Przypomniałem sobie, jak wiele sensu odnajdywałem w tym, co robię, jak wielu ludziom swą pracą sprawiałem radość, a czasem nawet wiele radości. I jak ja z tej radości także czerpałem. Jak ta radość nadawała mi kierunek, dodawała mi energii. Bo to, co w życiu najważniejsze, to właśnie ten czas, gdy na obliczach innych dostrzegasz zadowolenie, radość, ufność, wiarę i nadzieję. Jak o tym piszę, to przypomina mi się pierwszy dzień mej terapii. Zobaczyłem cud u pewnej pani, która tak mocno i pozytywnie została nastawiona do życia przez także i mego wspianętego Timo! Nie zapomnę nigdy jej widoku, jej gestu, gdy z wielką wdzięcznością i wzruszeniem potrząsała nadzwyczaj mocno dłonią Timo . Wiesz przecież, jak jeden gest wiele mówi o tym, co jeden człowiek może dać drugiemu... Jednak dopiero znalezienie następcy i moja praca przy wprowadzaniu go w arkana profesji stanowiła wypełnienie i spełnienie mej życiowej misji. Tak długo go szukałem. I w wielu miejscach. A okazało się, że ten ktoś był i żył w tym samym miejscu co i ja, niemal tuż obok mnie.

Jednak pomimo najnowszych zdobyczy techniki nie słyszał o tak ważnej, wręcz życiowej dla niego ofercie pracy. Nie wiem, jak doszło do tego, że zacząłem z nim o tym rozmawiać. Ot tak, któregoś dnia. I wiesz co jeszcze? Ja go usynowiłem! A ponieważ miał on żonę – z samotnika stałem się kimś ważnym, kto koło siebie ma bliskie, oddane osoby. I jeszcze coś – mój syn – następcą w fachu spodziewa się potomka. I niezależnie od płci dla mnie to jest kolejny z cudów, o którym kiedyś rozmawiałem z Timo. Jestem spełniony i szczęśliwy, a wszystko to zawdzięczam jakiemuś niespodziewanemu, chcę rzec: cudownemu zbiegowi okoliczności. A najważniejsze w tym wszystkim jest to, że ja zacząłem w coś takiego wierzyć, gdy już we wszystko zwałpiłem. To chyba największy cud mojego życia. I jak widzisz Oskarże radość moja emanuje z każdego pisanego tu słowa.

Życzę Tobie podobnych doświadczeń i doznań, spełnienia planów i Twych marzeń – pozostaję z poważaniem,

Epilog

Terapia En zakończyła się powodzeniem. Nie od razu co prawda, lecz w ciągu roku schudł około czterdziestu kilogramów. Stał się radośniejszy, sprawniejszy – i mimo ponad 70 lat cieszył się z tego, że Święta zostały uratowane, a prezenty dostarczone wielu, a nawet bardzo wielu spragnionym, potrzebującym i oczekującym. Dzieci nie zawiodły się na panu En – czyli – jak to się tu w Finlandii mówi panu Nikolasie, który pojawił się w porę, przygotowany.

Epilog II

Minął kolejny rok. Nadchodziła zima. Dni stawały się coraz krótsze. Noce wzięła w posiadanie Zorza Polarna. Wtedy przyszedł do niego Timo. Poprosił o rozmowę. Odkrył się przed nim. Opowiedział mu historię swego życia. Nikolas dowiedział się wtedy wiele o nim: że wychowywał się samotnie, że nigdy nie poznał swych rodziców, że En zrobił na nim niesamowite wrażenie, że Timo chciałby jeszcze w życiu zrobić dla ludzi coś ważnego, niepowtarzalnego i niesamowitego. Słowem spytał, czy mógłby być jego pomocnikiem, a później – przejąć schedę. Ponieważ En miał już siedemdziesiąty pierwszy rok zgodził się. Radości i wzruszeniom nie było końca. Jak uzgodnili – tak zrobili. Gdyby pisali o tym w gazetach – lecz po co o tym wspominać, napisano by pewnie: Timo ocalił świat od świątecznej pustki!

Epilog III

En nie zestarzał się w samotności. Usynowił Timo. Timo zaś od dziesięciu lat był mężem Ann. Ann uwielbiała swego teścia – jedyne i niepowtarzalne na całym świecie. Lekarze mówili, że para ta nigdy nie będzie nigdy miała dzieci. Lecz i tu miał miejsce jakiś cud, który sprawił, że... En stał się dziadkiem dla dwóch małych uroczych urwisów. I jak on je rozpieszczał, jak wiele czasu im poświęcał, ileż dostawali prezentów - i nie tylko na gwiazdkę. Ale to już zupełnie inna opowieść...